

52 w/

nr. Konopczyński.

St. Konarski, jako reformator
polityczny.



WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI.

STANISŁAW KONARSKI
 JAKO REFORMATOR POLITYCZNY.

„Niech będzie jedno plemię, jeden naród, jedno braterstwo; niech będzie jedna rada, jedna myśl, jedna wola niepodzielna” — w tych słowach bojownicy reformy państwo-kościelnej za Jagiellonów streścili swój polityczny ideał harmonii interesów całości i części. Zaakcentowana tylokrotnie jedność brzmi w ich ustach głównie, jak przeciwieństwo dualizmu polsko-litewskiego, ale z pewnością nie inaczej sformułowanoby w owych czasach zasadę tworzenia woli zbiorowej Rzeczypospolitej. Konstytucją sejmową jest w teorii jednoznaczna uchwała króla, senatu i posłów ziemskich, jednomyślnie głosujących wedle instrukcyj jednogłośnie uchwalonych przez sejmiki. Królem polskim zostaje w teorii kandydat, na którego „pozwoliła” jednomyślnie cała szlachta, zgromadzona na polu elekcyjnym. O majoryzacji nie może być mowy, albowiem równi nie mogą rozkazywać równym. Nietylko każda nowa ustawa, lecz i cały istniejący porządek władz ustanowionych polega na utopijnej unii dusz wolnych a odosobnionych, mogących wypowiedzieć monarsze posłuszeństwo, gdy się dopatrzą z jego strony pogwałcenia paktów konwentów.

W powyższych założeniach zawiera się alfa i omega powszechnego poglądu demokracji polskiej XVII wieku na istotę władzy państwowej w Rzpltej. Ideał szerokich mas nie jest wszelako identyczny z ideałem myślących jednostek —

publicystów i mężów stanu. Pomijając już dość licznych w łonie senatu i wśród pisarzy Złotego Wieku zwolenników głosowania większością, nawet wielbiciele teorii jednomyślności traktowali suffragium na wyborach i w sejmie, jako funkcję społeczną, nie jako wrodzone prawo wolnego szlachcica, potępiali rządy większości w senacie, izbie poselskiej i na sejmikach nie w imię interesów i praw mniejszości, jeno dlatego, że większość bezrozumnych członków w organizmie ludzkim musi ustępować jednej mądrej głowie, jak uczył Modrzewski; rozumni, lepsi ludzie, dowodził A. M. Fredro, stanowią zawsze mniejszość — co możnaby zmodernizować po Ibsenowsku: większość nigdy nie ma racji.

Rozmaicie więc uzasadniano regułę jednomyślności, ale i dla doktrynerów i dla mas szlacheckich całe publiczne prawo naturalne wspierało się na tej regule. Zwyczajowe prawo obowiązujące zaszło bez porównania dalej. „*Liberum veto*”, skryształizowane w połowie XVII wieku, następnie w drodze praktyki ujęte w ramy przepisów formalnych, po raz pierwszy wcielone do konstytucji r. 1673, chociaż nigdy nie określone z precyzją przez ustawodawstwo, wysuwa się daleko poza jednomyślność. Rozwinęło się na sejmach walnych przez oryginalną, chorobliwą ewolucję pojęć, pierwotnie dotyczyło jednej odepchniętej propozycji, potem wszystkich projektów danego sejmu, ostatecznie napeęczało do rozmiarów prawa zamknięcia ust całemu zgromadzeniu. Po wygłoszeniu magicznych słów: „*sisto activitatem*”, „protestuję”, marszałek nie może udzielić głosu aktywnego żadnemu posłowi, debaty przedzierzają się w rozmowę. Prawo „zatkania gęby” przenosi się niebawem do województw, jak powódź zrywa wszelkie tamy i zalewa nawet te ziemie, które zastrzegły sobie obiór większością marszałka, posłów, deputatów, urzędników: daremnie powołuje się na odnośne lauda, zatwierdzone przez sejmy, szlachta krakowska, mazowiecka lub kijowska, skoro kontradycjent przed elekcyą nie pozwolił nawet na zagajenie. Odwrotna fala potopu spotyka się na sejmie z ostatnią przegrodą — z regulaminem 1690 r., zakazującym zabierania głosu przed obiorem marszałka — i znosi tę przegrodę, jakgdyby na stwierdzenie frazesu trybunów ludowych, że *liberum veto est lex legum et frater legum*. Ustawy walą się od jego dotknięcia, można wyznaczyć karę na zrywacza, jak to doraźnie uczyniła izba poselska podczas konwokacyi 1668 r., ale skasować go niepodobna. Oto konkretne wykończenie reguły jednomyślności w prawie państwowem.

Idealnym skutkiem społecznym jednoty dusz miała być, zdaniem jednych, swoboda, zdaniem drugich, rządy najlepszych. Realnym skutkiem w epoce saskiej było to, że na trzydzieści osiem sejmów, 24 spełży bezowocnie, dwa rozeszły się dla przyczyn niezależnych od sejmujących, trzy ocalały przez limitę, dwa doszły trybem normalnym, trzy pacyfikacyjne stanęły dzięki wyjątkowym okolicznościom, resztę składały konwokacje, elekcye i koronacje; że w trybunałach brakło nieraz minimalnego kompletu sędziów, i trzeba ich było sztucznie dorabiać, że przeciętny skład izby poselskiej spadł ze 180 posłów na 110, że w niejednym województwie ziemstwo i dygnitarstwa obieralne wakowały przez długie lata, a w prowincyi pruskiej ani jeden sejmik generalny nie doszedł za Augusta III. Samowładność narodu najoczywiściej zamiera, samorząd usycha, kontrola nad polityką i administracją królewską ustaje, a jednak lauda i instrukcye pełne są chwały na cześć głosu wolnego, a dobroczynny *filozofaster*, wbrew własnemu chyba przekonaniu, przytakuje gadułom zaściankowym, jako liberum veto „jest to przywilej wolności naszej, zaszczyt imienia szlacheckiego, jest nawet szczególny sposób w niektórych cyrkumstancjach salwowania ojczyznę“!

Zdawałoby się, że gwałtowne walki i przesilenia fakcyjne rozsądzą doktrynę, przekonają ogół o jej utopijności — a jednak właśnie koterye magnackie, zrywając sobie nawzajem sejmiki, z tem większem upodobaniem wypisują w laudach sakramentalne *nemine contradicente*, ilekroć udało się ukraść wybory, albo sprzątnąć przekupionego oponenta. Nad nieocenioną żrenicą wolności roztaczają czujną opiekę sąsiedzi: jeżeli w XVII wieku reformę sejmową zwalczały dwory, którym ona groziła bezpośrednio, to po upływie stu lat utrzymanie nadgniętego *liberi veto* staje się programowym punktem dążeń wszystkich mocarstw, z wyjątkiem chyba Anglii. Austria przeszkadza reformie głównie przez obawę wstrząśnień, Francya przez lenistwo, aby uniknąć kłopotu z Rzpłtą przyjazną, lecz czynną i samodzielną, Prusy i Rosya pod wpływem dążności zaborczej. W społeczeństwie zapanowuje opinia, że zniesienia *liberi veto* jest niebezpieczne, gdyż równa się obaleniu całej wolności i schyleniu szyi pod jarzmo zachodniego absolutyzmu; jest zbyt cenne — boć w krytycznym razie zastąpi unię dusz konfederacya albo „sejm konny“, — jest niemożliwe, ponieważ książę Dołhoruki lub Bestużew, Castera czy też Broglie, Hoffman albo Benoit do tego nie dopuszczają.

Naszkiecowane powyżej zapatrywania na kwintesencję wolności politycznej wydarł setkom tysięcy mózgowic szlacheckich publicysta, dobrze znany czytelnikom z nazwiska i z portretu, mniej znany z ducha i treści swych pism. Otwierając dzieło „O skutecznym rad sposobie“, te cztery tomy nudne dla profana, niezmiernie ciekawe dla umiającego je czytać, winniśmy ustawicznie chować w pamięci całokształt owej ideologii staropolskiej. Lecz z jakim do nich przystąpimy uczuciem, z jakim uprzedzeniem do autora, z jakim zwłaszcza pytaniem na ustach?

W osobie Stanisława Konarskiego nie porywa nas dzisiejszych stylistą, nie olśniewa śnieżną białością charakter, nie imponuje nawet teoretyk i systematyk. Natomiast musi on pociągać umysły badawcze, jako problemat moralno-psychologiczny, jako jedno z najwybitniejszych wcieleń odradzającej się u nas etyki i myśli politycznej XVIII wieku. Jego dzieło interesuje nietylko samo przez się: odcisnęła się w niem potężnie, niby pieczęć w wosku, dusza epoki przedśmiertelnej, zbłąkanej, szukającej wyjścia z granitowego labiryntu musów dziejowych. Siłą rozmachu topora Konarskiego mierzymy twardość palących się belek, które rąbał, elementarną prostotą argumentacyi — tępiżnę mózgow, które miał ostrzyć, uporem, z jakim powtarza jedne i te same myśli — upór przesądnych jego przeciwników. Lecz nie dość na tem. Konarski-młot—sam musiał być ukuty, Konarski, służący nam za kryterium społeczeństwa, które przebudowywał, sam domaga się miary, sędzia—sam nie stoi ponad wszelkim sądem. I oto druga strona zagadnienia o Konarskim, składająca się z pierwszą w jedno najszerze, najgłębsze: z jakiego to narodu, drogą jakich prac wewnętrznych, przez jakie doświadczenia, jak wysoko ponad współczesnych wyrósł obywatel? jakim pługiem, jak głęboko, pod jaki zasiew przeorał ojczyzną niwę oracz-reformator?

Ileż tu wątpliwości na wstępie, ile zaledwo napoczętych sporów, ile pytań nazawsze może nierozwiązalnych!

Poruszono w literaturze kwestye: czy Konarski działał w jednym kierunku i łącznie z rodziną Czartoryskich, czy należał do ich partyi? W związku z tem: czy był ideologiem, czy też działaczem praktycznym? Może w przeciwnieństwie do książąt, konspirujących z Rosją jakoby o detronizacyę Augusta III, był obywatelem poczciwym i światłym? Może z płatnego pamflecisty-kondotyera drogą nieznanymi przejść duchowych podniósł się na piedestał czystego, wzorowego

patryotyzmu? Czy poza szczupłym gronem „familii“ i niektórych republikantów, uznających potrzebę naprawy sejmowej, licznych miał w narodzie sprzymierzeńców? Czy byli nimi ci wszyscy, których komplementy i podpisy czytamy na końcu II i III tomu?

O wyczerpującą odpowiedź na poruszone i nieporuszone pytania trudno się kusić w jednym artykule. Nas obchodzić będzie przede wszystkim nie teoria, wyłożona na papierze, nie jej wpływ na czytelników, nie geneza idei autora, lecz jego czyn dziejowy — Konarski przy warsztacie publicystycznym. Reszta omawiana będzie ubocznie.

Zaznaczmy z góry, że pomiędzy tą chwilą, kiedy nasz pijar, podobno „już duża głowa, jeszcze mały charakter“, dopiero obrońca kandydatury wettyńskiej 1733 r., przenosi się do obozu Stanisławców, a datą druku monumentalnego dzieła o sejmach,—nie widzimy, nie zgadujemy w nim żadnych przełomów moralnych, żadnego aktu potępienia swej przeszłości. Nie wierzymy aby Konarski *sapere ausus* gardził Konarskim z doby Klemensa XII. Trzeba się zżyć z cechującym epokę saską rozluźnieniem dogmatów etyczno-politycznych, trzeba odróżniać obłąd umysłów od deprawacyi charakterów, a nadewszystko wyczuwać, jak stopniowo prostują się ścieżki, oczyszcza się duch publiczny wszędzie i zawsze, a tembardziej w owym wieku przedrewolucyjnym, gdy cały zachód dyszał zgnilizną, gdy znikąd nie świecił wzór ludowładztwa rządowego i wolnego: trzeba to wszystko mieć przed oczyma, aby nie żądać od generacyi dzikowskiej poglądów i skłonności kościuszkowskich. Tylko na tle równoczesnego odrodzenia ogółu polskiego, przy pouczającym zestawieniu z przemianami, jakim ulegli rówieśnicy Konarskiego, redukuje się wzrost jego charakteru bo należytej miary. Zwłaszcza wnikliwe porównanie z Czartoryskimi przyczyni się do złagodzenia kontrastu, dostrzeżonego przez niektórych (za przykładem Szujskiego) pomiędzy nimi a księdzem pijarem. Przyszłe niezbędne dzieło o naszym reformatorze powinno być zatytułowane „Stanisław Konarski i jego wiek“.

Okres dzieciństwa zostawił mu wspomnienia przygnębiające. Wojna Północna srożyła się w Polsce. Kraj miał dwóch królów, tysiące zdrajców,—jeżeli zdradą można nazwać odstępstwo od monarchy, który sam raz po raz zdradzał swe państwo, ofiarowywał jego rozbiór Szwedom, Prusakom, Moskwie, komu się dało. Sprzymierzeniec króla polskiego Stanisława I i Rzpltej gwałcił dowolnie naród, wybierał kontry-

bucy, zakuwał w dyby opornych i niewypłacalnych. Sprzymierzeniec króla Augusta II i Rzpltej robił mniej więcej to samo ze swymi wrogami, zatruwał przyjaciół jadem swego złota. Nigdy nie upadł niżej majestat narodowy. Notorycznie zdetronizowany, wrócił nareszcie do korony z łaski cara Piotra wielki zbrodniarz stanu i w dalszym ciągu ćwiertował Polskę na papierze, robił na niej monarchiczne eksperymenty, wpędzał nimi społeczeństwo w bezdenń zacofania. Szesnastoletnim młodzieńcem patrzył Konarski na jedno z największych u nas zaćmień i ducha postępu i ducha niepodległości, na konfederację tarnogrodzką i traktat warszawski, narzucony przez medycę rosyjską; dwudziestoletni widział na zerwanych sejmach 1720 r. porażkę najlepszych uściłowań Augusta II-go aby Rzpltę z pomocą Austrii i Anglii uwolnić z objęć rosyjsko-pruskich. Kto posiadał rozum i wykształcenie, a nie uległ od początku niwelującym wpływom hasel stronnicych, nie mógł z taką rzeczywistością zawierać żadnych kompromisów; jeżeli umiał stworzyć sobie ideał polityczny, to już chyba ideał radykalny. Pojęć Konarskiego nie spaczyły sofizmaty partyjne, podróże zagranicą rozszerzyły mu widnokrąg myśli. Lecz nie łatwo targnąć się na uświęcone zasady, chociażby przeżyte, chociażby tak niedorzeczne, jak ówczesne polskie konstytucyjne; nigdy nie było to trudniejszym, niż w tamtej epoce tyranii najmarniejszych sfer, kiedy cała publicystyka składała się z anonimowych świstków, a samodzielne umysły kurczyły się dla popularności do parafianckiego poziomu. Przeworny ksiądz nie myślał całej przyszłości stawiać na jedną kartę i długo tłumił swą wenę piarską. Gromadził doświadczenia, badał przeszłość, zbierał i studyował pierwsze *Volumen Legum*. Aż przyszło zewnątrz coś, co mu zakazało dłużej milczeć. Był to rok 1732, ostatnia jesień Augusta Mocnego. Od sześciu lat pękały wszystkie sejmy, a odkąd jedyny środek zapobiegawczy — *limita*, którym król uratował od rozbitcia parę sesyj, skasowany został ustawą 1726 r. nie widać było kresu anarchii. Napuszeni oligarchowie, Potoccy, Wiśniowieccy, Radziwiłłowie, Sapiehowie, widząc wschodzącą gwiazdę regimentarza Stanisława Poniatowskiego i Czartoryskich, a wiedząc, że August zamierza Poniatowskiemu oddać wielką buławę, rwali sejm po sejmie przed obiorem marszałka: król dał się przeciągnąć w bezprawiu i nie próbował wbrew konstytucji 1717 r. rozdać ministeryów poza sejmem. Teraz nielada wysiłkiem dwór zdobył na wyborach stanowczą przewagę, nikt, zdawało się,

nie wydrze mu laski marszałkowskiej. I znów na marne poszły wszystkie zachody. Wówczas to pewien obrotny, choć niewidzialny agent opozycji „patryotycznej“, w przystępie żalu za grzechy, wywnętrzył się przed Konarskim o swych zabiegach celem zniszczenia sejmu, o zakupionej na tę intencję mszy św., o poczęstunku upatrzonego salwatora ojczyzny gdańską cynamonką i o przekupieniu go 400 czerwonoćmi. Żadne parafrazy nie spotęgują barw tej opowieści; opuszczamy ją, jako zbyt dobrze znaną.

Liberum veto, najprawdziwsze liberum veto, czarnym słupem stanęło przed wzrokiem Konarskiego... Nie jakaś fatamorgana dzisiejszych spóźnionych entuzjastów, upatrujących w głosie wolnym gwarancję praw mniejszości, szczyt modnego indywidualizmu, — lecz niemoralna i demoralizująca żywa siła niszczycielska! W jednej chwili przygodny spowiednik wypowiedział wojnę dożywotnią żrenicy wolności szlacheckiej. Lecz jak wojować, jak agitować? Droga do posłuchu prowadziła śnać przez koterye: kto dla propagandy swej idei nie chciał zmobilizować gotowych wpływów możnowładczych, tego czekałby los zapoznanych swojskich proroków w rodzaju Spytka Ligęzy, Łukasza Opalińskiego, ostatnio—Szczuki i Karwickiego. Konarski acz dość blisko skoligacony z opozycją, nie jej, a ludziom przyszłości poświęcił pierwociny swej pracy. W sam środek agitacji przed sejmem nadzwyczajnym 1733 r. posłał bezimienną „Rozmowę ziemianina z sąsiadem“. Jest to pierwszy atak Konarskiego na liberum veto, pełen tęgiej argumentacji, rzetelnej siły przekonania, zdradzający zasadniczy sąd autora o regule jednomysłności, a jednak nader skromnym zakończony morałem. „Przecież to, przez żywy Bóg, liberum veto nie znosi sejmowania porządku, przecież źleby to było, żeby wolność i dobry porządek nawzajem *mutuo* cierpieć się nie mogły!“ Skrytykowane tu niektóre lekarstwa paliatywne w rodzaju konfederacji i sejmów konnych, lecz nie podany żaden wniosek *de lege ferenda*, przypomniany tylko bezsilny regulamin 1690 r. o obiorze marszałka. Zresztą naprawa sejmów nie jest przewodnią ideą „Rozmowy“. Autor mimochodem rąbnął liberum veto, samo atoli ostrze swej broszury wymierzył gdzieindziej: zachęcał króla do mianowania hetmanów w senacie, poza sejmem, aby tem zniszczyć powód dalszego rwania obrad, wziął w energiczną obronę Poniatowskiego, spopularyzował go wśród szlachty, jako ofiarę pychy rodowej magnackiej, zohydził i nastraszył Potockich,

dokazał tego, że na sejmie styczniowym obrano marszałka prawie bez trudności—ale nie wyszczerbił wolnego „niepozwa-
lam“.

August II umarł. Rozigrały się burze przedostatniego bezkrólewia. Dziesiątki, setki zdrad i odstępstw, nowe złudzenia i nowe zwątpienia! Zoryentować się wśród zmieniających wirów było niezmiernie trudno. Nasz ksiądz z początku nie pobięgił za powszechnym instynktownym pędem ku kandydaturze piastowskiej, pisał cięte „Reflexy przyjaciela” przeciwko przysiędze konwokacyjnej na ekskluzyję cudzoziemca; dopiero po elekcji Stanisława przyłgął mocno do jego sprawy, lecz ani tu, ani tam nie znalazł pola do krzewienia swych idei: wszak człowiek, który w kwestyi reformy sejmowej podzielał jego dewizę: *Extremis malis extrema remedia*, Michał Czartoryski razem z całą rodziną stanął wtedy pod komendą prymasa Potockiego, rzecznika „drogocennej prerogatywy wolnego narodu“.

A gdy już było po wszystkim, gdy wspomnienie sromotnej porażki legło ciemnym piętnem na duszy narodu, gdy dla wielu nastął krytyczny czas szukania nowych dróg, nie omieszkał i Konarski wysnuć nauki z dotychczasowej działalności. Rzuciło się w oczy spostrzeżenie, że ogół nie jest przygotowany do słuchania prawd „Rozmowy Ziemiani-
na“: na innej niwie, pedagogicznej, zasiać należy ziarna przeszłej Polski, inaczej zagłuszą je ciernie, podepczą przechodnie, rozdziobią ptacy. Mniej widoczna była inna konkluzya, ta, która dotyczyła ufności, pokładanej w obcych przyjaźniach. Najgłębiej krył się trzeci wniosek, zapewne i dla czytelnika niedość jeszcze przejrzysty: oto na Konarskim ciążyła tajemna klątwa sprzeczności wewnętrznej.

Ksiądz na długi czas rzucił pióro publicystyczne, obiecał sobie nie odrywać się od reformy wychowawczej. Lecz nie pozostał ślepym na bieg wypadków krajowych. Powoli widnokrag obywatelskiej racji stanu oczyszczał się ze mglistych oparów. Ogół z pewnością życzył sobie naprawy, ale nie umiał jej chcieć. Ludzie, których stać było na potężną wolę, na chłodny i praktyczny rozum, słowem Czartoryscy, świeżo pogodzeni i sprzymierzeni z dynastją elektorską, tak daleko odbiegli od wyobrażeń szerokich mas, że te przestały ich rozumieć. Przeciwnicy — Potoccy, Tarłowie, Świdzińscy, zrobili sobie z powszechnej niechęci do króla intruza taran, którym uwzięli się burzyć dzieło dworu i Czartoryskich. Bu-
ta możnowładcza podszyła się pod hasła równości i swobód,

wrzekomo gwałconych przez familię, schlebiała najnędniejszym instynktom tłumu... Ale i tych malkontentów naczelna komenda pojmowała potrzebę przebudowy, i ci augurowie staroświeckiej złotej wolności musieli parskać ze śmiechu, spotykając się sam na sam. Licytowali in minus otwartzszych postępowców, zmuszali ich do nieszczerości pod grozą depopularyzacyi, a jednocześnie sami knuli dalekosiężne zamachy nawet na wolną elekcję. Oba stronnictwa wyrobiły sobie taki schemat działania: rwać sejmiki, unosić się nad świętością wolnego głosu, skupiać koło siebie i elektryzować rzesze bodaj najniedorzeczniejszym hasłem, byle stać się potęgą w kraju, zdobyć potęgę na dworze Augustowym, zdobyć Brühla, zmiażdżyć przeciwnika głazem prerogatywy monarchszej — i nagle pokazać światu prawdziwe oblicze, wzmocnić, odrodzić państwo. Dociekać nie będę, o ile więcej grzechów popełnili w imię tej taktyki Potoccy od Czartoryskich, o ile szerszy był patryotyzm rodziny od patryotyzmu pilawitów: ani tu, ani tam nie było absolutnego zaprzaństwa, nie było absolutnej cnoty. Skutek wykrzywionych usiłowań był jasny: obniżanie bez końca obyczajowego i umysłowego poziomu polityki. Idee, wtłoczone podstępnie na dno dusz, wymierały, gasła wiara narodu we własne mózgi i mięśnie, rozlażyły się jeden po drugim sejmy, pękł ze złowrogim trzaskiem trybunał piotrkowski, ostatnia ostoja porządku prawnego...

Stanisław Konarski śledził proces rozkładowy, pisał potrosze traktat o reformie parlamentarnej próbował, przemawiać do rozumu trybunów opozycyjnych, podzielił się z nimi po zerwanym sejmie 1748 r. rękopisem pierwotnej redakcyi, lecz napróżno. Z ust protektora, Jana Tarły, słyszał, że głosowanie większością możnaby wprowadzić, gdyby równocześnie odebrano królowi dystrybutę wakansów; a ponieważ to nie nastąpi przed bezkrólewem, wypada chyba modlić się o rychłą śmierć królewską!

Klucz do wrót ocalenia trzymali z pewnością wodzowie opozycyi, sojusznicy Fryderyka II i Francyi; zaiste, patrząc na ówczesne borykanie się „famili” z inercją większości narodu, trudno się oprzeć wrażeniu, że jedynym środkiem do narzucenia „patryotom“ reformy byłoby dla „famili” oświadczyć się za wstecznictwem. Wtedyby może Potoccy, Tarłowie i Ska z rozpędu przerzucili się na stronę reform. Naiwne, żłudne przypuszczenie! Zaledwo republikanci odepchnęli Czartoryskich od Brühla, wyszło na jaw, co stanowi rzeczywistą spójnię francuskiego obozu. Premier saski nie

poto uwolnił się od reformistycznych sugestyj rodziny, aby przyjąć antyrosyjski, samozachowawczy program starych Potockich. Stronnictwo francuskie skompromitowało bezpowrotnie swą nędzę, rozszczepiło się na dwie gromady: z najgorszych żywiołów opozycyjnych jęła się tworzyć nowa, bezduszna partya dworska, mniszchowska, gotowa za pieniądze i dobrodziejstwa podpisać wszystko, czego zażądają Sasi, jednakowo obca i planom naprawy i tęsknocie do niepodległości. Odtąd siła prerogatywy królewskiej dezorganizować będzie oba ideowe odłamy partyjne. W takich warunkach niepodobna było żadnemu obozowi powierzać wykonania reformy parlamentarnej. Nowe stronnictwo znakomicie zwiększyło popyt na ciemne instynkty mas.

To też Konarski, pomimo nalegań przyjaciół osobistych, nie kwapił się z drukiem swego dzieła. O jego stanowisku politycznym przez długi czas decydowała zależność od dobrodziejów konwiktów, Tarłów i Lubomirskich. Wśród perypetyj polityki magnackiej musi nasz pijar wprowadzać rosyjskiego generała Loewendahla do fortecy kamienieckiej, potem odbywa podobno niewyraźną misję do Petersburga, wraca z tysiącem rubli nagrody, potem razem z Tarłami staje w szeregach partyzantów francuskich. Jednakże daleki od bezwiednego ulegania powszechnemu prądowi zwycięskiemu, ośmiela się w rozgłosnej sprawie ostrogskiej nie podzielać urzędowych sympatyj francuskich, ściąga na swoją tłoczną pijarską gniew dworu i „patryotów“ wydrukowaniem odezwy, naganiającej reskrypt o administracji ostrogskiej, traci chwilowo pensję wersalską. Wnet jednak wraca do łask Jego Arcychrześcijańskiej Mości, i to w tym właśnie czasie (1755), kiedy republikanci nie bez podstawy obiecywali sobie i krajowi prawdziwe od Francji dobrodziejstwo.

Tu niespodziany przewrót w układzie międzynarodowym, dokonany przez Fryderyka II i Kaunitza wywołuje fatalną zmianę w stosunku Ludwika XV do Polski. Minęły nieszczęśliwe dla nas lata Fleurego i Argensona, zbliżały się gorsze dni Bernisów i Choiseulów, w upałach Wojny Siedmioletniej zaczął przetapiać się mechanizm burbońskiej polityki na Wschodzie. Rzplta — dotychczas, gdyby nie Prusy, naturalna przyjaciółka Francji—szła na ofiarę dziwacznej przyjaźni francusko-moskiewsko-austriackiej. Konarski należał jednak do upartych francuzomanów, i w r. 1757, kiedy armje francuskie zalewały sekundujący Prusom Hannover, wyzwalały z rąk Fryderyka Saksonię, gdy świtał napozór koniec krwi

rozlewu, a Ludwik XV, domniemany pogromca Prus, zabierał się do podyktowania praw Europie, ksiądz Stanisław, ukończywszy właśnie reformę szkolną i zakonną, zbliżył się do ambasadora francuskiego w Warszawie, hrabiego de Broglie, i odrazu otworzył mu oczy na rolę jaką grała w Polsce, a jaką powinna była grać Francya, niszczycielka sejmów, opiekunka nierządu. Memoryał, sporządzony wówczas przez Konarskiego w materji przysług, jakich Rzplta mogłaby się spodziewać po przyjaznych mocarstwach przy bliskiej pacyfikacji, wyszczególniał dwie kardynalne przysługi: 1) przeprowadzenie za życia Augusta III obioru następcy w osobie królewicza Ksawerego lub Karola, co prowadziłoby wprost do emancypacji Polski z pod przewagi moskiewskiej, 2) usunięcie liberi veto, krok niezbędny do dalszego rozwoju państwa i społeczeństwa. Memoryał pozostał prawie bez echa. Czyżby Francya źle nam życzyła? To być nie może! Wytlumaczymy jej obojętność inaczej: ona przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności przestała być władczynią losów Europy — przyszedł Rossbach, Crefeld, zabłysła gloria niezwyciężonej Rosyi, lecz zaćmi ją Ludwik XV, gdy tylko... gdy tylko los mu się uśmiechnie. Taką otuchą głaskał siebie niejeden, zapewne i Konarski, wciąż wierny życziwiec Wersalu, pomocnik i doradca powaśnionych z dworem, topniejących, coraz samotniejszych patriotów, zamaskowany autor namiętnej filipiki, jaką hetman Branicki rzucił Brühlowi 1758 r.

Nie żywili żadnej z owej strony iluzji ludzie, którzy na własnych zmęczonych nerwach odczuli rzeczywiste ciasnoegoistyczne pobudki polskiej polityki Bourbonów — książęta Czartoryscy. Oni, nie czytając, zgadli niedościgły sens poufnych wskazówek, jakimi minister Choiseul oświecał przedstawicieli swych na¹ Wisłą: króla arcychrześcijańskiego obchodzą w Polsce tylko dwa punkta: 1) „aby anarchia, tak dobrze ugruntowana w tem królestwie, panowała tam bezwzględnie, 2) aby żadne mocarstwo nie powiększyło swego obszaru częściami terytorjum polskiego“. Pieniądze, użyte dotychczas przez Francję na zbawienie (a właściwie na zatrucie) Polski — są wyrzucone za okno, Choiseul nie może ich odzalaować, nadal nie wyłoni ani jednego sou. „Gdyby się zdarzyło, że pewien król miałby dość geniuszu i talentów, aby wzniosłym duchem przywrócić porządek w Polsce, wtedy Francya powinna by ponosić wydatki... aby krzyżować operacje podobnego władcy!“

Wyborna okazyja wcielenia w czyn nowego poglądu na

rzeczy polskie nastęrczyła się francuzom, jak tylko Rosya, upojona zwycięstwem pod Kunersdorfem, zapragnęła laurów pacyfikatorskich, zaśpiewała o pokoju. Ogół polski, aczkolwiek odcięty od matactw dyplomatycznych, wyczuł niezgorzej, co w trawie piszczy. Nikt go nie ostrzegał — wszyscy okłamywali, pomimo to z tajników kancelaryjnych przedarła się do kół opozycyi narodowej nowina, iż sąsiad wschodni nie zechce wyjść z wojny z pustemi rękoma. Co nastąpi, jeżeli sąsiad zachodni zgłosi podobną pretensyę? Gabinety zaczynały coś bąkać o regulacyi granicy ukraińskiej, o jakichś odszkodowaniach z drugiej strony — a wiadano, co się w XVIII wieku nazywa regulacją granicy i słusznem odszkodowaniem. Straszne, prorocze przecucie ogarnęło świadomych rzeczy. Jeszcze parę pociągnąć pióra, a stanie się Polska, czem ją chciał zrobić Antymachiawel, komunią, jednoczącą wyznania protestanckie, katolickie i prawosławne. Kamarylla dworska przycichła, Brühl udał obojętność, Czarторыscy ostatnim odruchem zapukali do Wersalu o światło i pomoc. Lecz Wersal milczał, nie zaprzeczał, nie protestował. Europa pozwalała.

W tych miesiącach posępnych zimowych 1760 r. Konarski przejrzał swój błąd zadawniony. Błędem było, że wraz z innymi czekał na poparcie zagranicy: doczekał się abdykacyi Francyi na rzecz Rosyi, doczekał się aliansu prusko-rosyjskiego! Błędem było i sprzecznością, że on który w roku 1733, ogłaszając „Rozmowę Ziemiańszczyzny,” piorunował na magnatów, rozwoził się o szkodliwość fakcyj prywatnych, fakcyom przecież poświęcał swoje ostre pióro, magnackiej długo trzymał się klamki i zamiast iść na przebój, z reformy sejmowej tworzyć w tysiącach dusz żywą potęgę, któraby się narzuciła magnatom,—na kanwie cudzych machinacyj stronniczych myślał wyplatać dzieło swego żywota. A jeżeli zwlekać z wypowiedzeniem prawdy kazał mu wzgląd na groźne, nieobliczalne następstwa, to popełniał jeszcze jedną omyłkę wspólną całemu pokoleniu. Skoro zrezygnował z infuły, dygnitarstw, karyery biskupa czy też mandaryna, skoro stanął na własnych nogach, to pocóż utożsamiać siebie ze statystą — mężem stanu, gdy należało wypełnić jedynie prosty obowiązek obywatelski? Męża stanu dławić mogą skrupuły, że jego czyn, choćby najzaciejszy i najmądrzejszy, jak wystrzał w górach, strąci na kraj niszczącą lawinę, i społeczeństwo jemu przypisze swą zgubę: obywatel, odpowiedzialny za wszystko tylko przed sobą, przed wszystkimi tylko za siebie,

mógłby przynajmniej nie lękać się klątwy potomności i kroczyć drogą dobra i prawdy bez nadziei oglądania plonu.

Na taki właśnie obywatelski czyn dobry, choć może beznadziejny, późno zdobywa się Konarski w r. 1760, już wolny od mirażów, wyższy nad partyjność. Zakomunikował rękopis wodzom opozycji, zasięgnął ich zdania i ogłasza pierwszy tom traktatu „O skutecznym rad sposobie“. Czyni to bezimiennie, już pewno nie przez zbytnią ostrożność, aby odwagą cywilną nie narazić szlachcie swych konwiktów—nazwisko autora nie dałoby się ukryć pod korcem—a raczej dla uniknięcia pozorów, jakoby autor sensacyjnej książki solidaryzował się z pewną koteryą. Pełna werwy zaczepnej nuta polemiczna przenika ów tom od pierwszej strony do ostatniej. Nieocenione doprawdy są te argumenty, które kolejno obala anonim. Różnobarwne odcienie swujskiej myśli politycznej odzwierciedlają się w tej dyalektyce — coś niby pierwowzór dyalogów Konrada z „Wyzwolenia“. Oblęd, połowiczność, ospalstwo, lekkomyślność, deprawacya moralna, wszystko tu ma swych przedstawicieli i wszystko dostaje odprawę. A z pewnością pijar nie wywala drzwi otwartych, nie walczy ze zmyślnym wrogiem. Wszyscy antagoniści są wzięci z natury, nieledwie sportretowani.

Posłuchajmy pierwszego: sejmy dochodzić będą, gdy dwór postara się o to szczerze, gdy zmięknie opornych pensją, prezentem, starostwem, wakanssem. Pada odpowiedź jędrna i prawdziwa: „Podła jest rzecz i dla nacyi mieć i cierpieć takowych, którzy tym szpetnym sposobem swoje wyrabiają prywaty“. „Co zaś mówić zwykliśmy, że trzeba, aby wszyscy panowie emulacye, ambicye, zemsty i wszystkie porzucili prywaty, dobrzeby to było, ale to chimera tylko“. Zresztą nie w demoralizacyi tkwi istota zła, u spodu każdego zerwanego sejmku leży coś gorszego, niż wina — ciężki błąd społeczny. Panowie weneccy nie lepsi od naszych. „Dozwól tylko i w tamtych narodach wolnych moc rwać rady każdemu, to i w Londynie i Ratyzbonie i w Hadze polskie zawsze będą sejmy“. Zasadniczo, chodzi o naprawę instytucyi, nie charakterów. Na nic się zdały wszelkie zamysły poprawy dobrobytu miast, przemysłu, handlu, pomnożenia wojska, założenia mennicy, wzbogacenia skarbu, reformy sądownictwa: bez naprawy sejmów nie może być mowy o odrodzeniu narodowem. Zbieracz Voluminów Legum zna chętkę polaków do używania półśrodków doraźnych łataniny *pro hoc sola vice*. Więc na półśrodki rzuca się za-

jadle. Na nic limita sejmu, gdyby nawet była pozwolona — rwacze do niej nie dopuszczają; na nic propozycja, aby wolno było protestować dopiero po połączeniu izb; na nic ograniczenie wolnego „niepozwalam“ do poczczególnych materij, zakaz protestowania przeciwko zapadłym już decyzjom, wtedy jednak najważniejsze sprawy uwięzną na zawsze w recesach.

Na nic proponowany sposób, aby swą moc zachowywały tylko kontradycje oparte na prawie, albo na publicznych walnych, sprawiedliwych racyach. O cóż łatwiej niżli o prawo lub rację, i kto rozpozna jej sprawiedliwość? Na nic drobiazgowo opracowany projekt nadzwyczajnego sądu na przekupionych posłów: zapewne, godni są oni Palarysowego wołu, Koenigsteinu, Jedykuły, Szpandawy, Sybiru, Bastylii, Spielbergu, Toweru, ale szlachta się na to nie zgodzi, czyż zresztą nie jest sprzecznością karać za protestacje i jednocześnie uznawać powagę choćby ukaranych, choćby najbezsmyślniejszych protestów?

Któż nie zna poziomu argumentacji sejmowej?

„Wszakże wszystkie sejmy i województwa są tego zdania, że poseł za swoją wolę i rację, za swój wolny głos, za swe zdanie sprawować się i odpowiadać nie powinien nikomu“.

Piorun za piorunem bije w demagogów republikanckich, Adamów Małachowskich, Chojeckich, Karwowskich, co nieraz podobnym frazesom zmuszali do milczenia uczciwsze, rozumiejsze usta pod grozą natychmiastowego odjazdu na Pragę!

„Wszakże gdy inne motywa nie poskutkują, zapieczętuje tą największą, najcelniejszą i najwalniejszą racją: *Bo mi wolno, bo takie jest moje zdanie, bom się ze zdania mego sprawować nie powinien nikomu*“.

„To racja, utrzymująca istotę u nas wolnego głosu, najwalniejsza, najcelniejsza, największa, najfundamentalniejsza, najświętsza, najgodziwsza, najpubliczniejsza!“

Na nic walne rady, w rodzaju owej warszawskiej 1710, powstałe na gruncie dawniejszej konfederacji, acz złożone z posłów wojewódzkich, decydujące w krytycznych okolicznościach większością głosów — państwo nie może funkcjonować w stanie ciągłego kryzysu.

Na nic propozycja sejmów konnych, któreby się zbierały w razie zerwania dwóch z rzędu zwyczajnych — już biskup Szaniawski zbył taki wniosek pytaniem: „co to lepiej zrobią końskie, niż nasze głowy?“ Wojna kokosza za Zyg-

munta I jest właśnie modelem sejmów konnych. Na nic same konfederacye, bo każda z nich jest paroksyzmem dla schorowanego organizmu Rzpltej, jest dyktaturą stronnictwa, wywracającą do góry nogami ustrój państwowy. Wszakże, gdy dojdzie do reformy, jeden zamach stanu będzie nieunikniony: „Konfederacya... jedna, dobrze zregulowana i w szczerzej jedności z królem i panem złączona, Boga tylko miłość i dobro ojczyzny za koniec mająca, jaknajkrótsza, dobrze przygotowana, dobrze ułożona, nie masz co wątpić, żeby ten pożądanym wynalazła i ustanowiła sposób“.—Ale za pozwoleniem — odzywa się ktoś z boku: czyż nie widać jawnie, że Polska nierządem i nieporządkiem stoi? Niezmordowany agitator musi i z takim adwersarzem polemizować, i z innym jeszcze, pokrewnego gatunku, poinformowanym przez poselstwo pruskie, francuskie czy też rosyjskie, że sąsiedzi nie dadzą nam upaść. Następuje tedy wykład „naganionych zawsze pięknemi słowami, ale rzeczą samą wypełnionych u dworów Machiavella kanonów“. Wśród zdeklarowanych przyjaciół narodu polskiego są szczerzy, ale są i tacy, co „nas, ile od nich zawisło, utrzymują całemi swej polityki siłami w tem zamieszaniu i nierządzie szkaradnym, abyśmy nigdy do dobrego rządu, nigdy do bogactw, nigdy do sił nie przyszli, aby nas w swojej dyspozycyi i dependencyi, jako im się podoba, trzymali, aby naszym krajem przez swoje rozrządzali traktaty“. Tutaj Konarski nakształt kaznodziei, przemawiającego naraz do inteligencyi i do prostaczków, spostrzega się, że budząc śpiących, odbiera otuchę tym, co aż nabyt dobrze czują ciężar obcej kontroli. Więc w końcowych ustępach uderza w ton optymizmu. Co to jest, cóż to słyszeć, cóż to za jakaś rozpacz u wszystkich prawie patryotów? Że już nigdy lepiej nie będzie, że już nigdy się złe nie odmieni, że już kroku cofnąć nie można od zguby. Nie słyszysz nikogo, któryby o polepszeniu ojczystego stanu coś lepiej rokował“. Ależ nie wszystko przepadło! „Niepodobna, żeby rozum u nas nie miał wziąć kiedy góry! A za cóż nie u nas samych, za co, mówię, nie za naszych czasów?“

Tak silnej, przejmującej, głębokiej mowy nie słyszało ucho polskie od wieków. Reformator umilkł, nie dopowiedział ostatniego słowa, wyteżył słuch: czy też samo społeczeństwo zgadnie drogę do zbawienia, czy zrodzi się nareszcie ożywczy, ekspansywny ferment?.. I słyszy Konarski, jak na sejmikach, odpustach, jarmarkach zżyma się, dąsa bracia szlachecka na śmiałku, ze zgorszeniem bierze książkę do rąk, czyta

coraz pilniej — i na korzyść autora odmienia sentyment. Nadchodzą listy gratulacyjne od świetnych dostojników... Prywatny pisarz wyrasta w opinii ponad senatory... Pierwsi zgłaszają się z akcesem do poglądów jego przedstawiciele rodziny. Teodor Czartoryski biskup poznański, Antoni Ostrowski inflancki, sędziwy kasztelan krakowski, Stanisław Poniatowski, zacy Andrzej Zamojski, sprzymierzeniec ich, hetman J. Kl. Branicki, dalej podsk. Kossakowski, pisarz Sosnowski, strażnik Lubomirski—wszyscy manifestują swą solidarność nie tylko z ujawnioną, ale i z ukrytą myślą autora. Spieszmy z akcesem zmarnowany mąż stanu, który najgłębiej zaprzepaścił dzieło wszystkich reform—Antoni Potocki, wojewoda bełzki. Podobnie pytani oraz nie pytani o zdanie stronnicy dworu: biskup krakowski Kajetan Sołtyk i brat jego Tomasz, wojewoda łęczycki, Antoni Lubomirski miecznik kor., Franciszek Bieliński marszałek wielki, Wacław Rzewuski, paru Jabłonowskich, biskup Józef Załuski, podkanclerzy Michał Wodzicki. Adam Krasiński posuwa się do twierdzenia, że już z górą 90% narodu wierzy w zatajony skuteczny sposób rad. Jednakże nie brak wątpicieli. Taki np. Wojciech Miaskowski wojewoda kaliski, za jedyny środek do utrzymania sejmów uznaje stryczek na szyi mówców sejmowych, prymas Lubieński udaje, jakgdyby się nie domyślał zbawiennego sposobu, wódz dworaków, Jerzy Mniszech, któremu najzręczniejszy byłoby wygłosić zasadę większości, „miałkością zdania swego“ uznaje tylko pierwszy tom za „całe doskonały“ i więcej nic. Co dziwniejsza, August Czartoryski, reformator *par excellence*, zdobywa się raptem na komplement dla doskonałości Konarskiego, partykularnie mu znajomej i szacownej, a ksiązę Michał, ministeryalna głowa „rodziny“, pospołu z kolegą kanclerzem Janem Małachowskim, oddawna przeciwnikiem liberi veto, wcale nie uchylają przyłbicy. Okoliczność to wysoce znamienna. Bardzo być może, iż urzędowa komenda reformistów nie chciała się wypowiadać, aby przeciwników nie pchać do kontrmanifestacji; prawdopodobniejszym jednak wydaje się domysł, że politycy realni, powołani do delikatnych rokowań z zagranicą, a niepewni jeszcze, czy i w domu nieubłagana logika stanu nie każe uciec się do zepsucia sejmu, postanowili nie wiązać sobie rąk. I w najbliższej zaraz przyszłości widzimy, jak opozycja narodowa, Czartoryscy, Branicki i Małachowski, pobici na wyborach przed sejmem nadzwyczajnym 1761 r., a jednak przeświadczeni o swej dobrej gwieździe i o sympatyj kraju, dla zgnębienia saksończyków niszczą podjęty przez nich (nawiasem mówiąc,

niewczesny i nieuczciwy) projekt reformy mennicznej. Unikają zresztą pozorów, jakoby hołdowali zasadom *liberi veto*, zrywają obrady nie ukradkiem przez jednego manifestanta, lecz gremialnym protestem czterdziestu posłów przeciwko sejmowi, który uznają za zwołany nielegalnie i niebyły.

Z boleścią widział nasz pijar, jak o kamienne mury realnej polityki partyjnej rozbijają się jego odezwy do obywatelskiego rozumu jednostek; nie bez uczucia zawodu chyba doświadczył, że ostatecznie kilkadziesiąt nieszczerych pochwał magnackich nie zastąpi upragnionej aklamacji budzących się tłumów — zmiarkował, jak ciężka jeszcze będzie dalsza praca — i oddał do druku drugi tom traktatu. Pierwszy burzył starą rudere, drugi miał zakładać fundamenty pod nowy gmach. Lecz nie odrazu runęły przesady, jeszcze jest dużo do uprzątnięcia; to też drugi tom wydaje się mniej jednolitym, słabszym w nastroju, śmiało powiem, gorszym od pierwszego: jakgdyby zabrakło nerwu piszącemu po kosztownym wysiłku i po niezupełnym sukcesie. „Co to jest Anarchia, i jak ją poznać?“ zapytuje na wstępie. „Jest to stan bez rady i rządu.“ Jest to stan Polski społecznej, podobny do stanu, który Montesquieu skonstatował w przedzgonnym okresie Rzymu. Anarchia, to my. Widomym symbolem dekadencji i rozkładu państwowego jest u nas *liberum veto*. Jak ocenić je z punktu widzenia prawnego i politycznego? Żadne ustawy—wyjaśnia Konarski razem z Lengnichem — nie sankcjonują prawa zrywania obrad; nawet „wspólne przyzwolenie“ stanów w statucie Aleksandra całkiem dowolnie wytłumaczono, jako jednomyślność; interpretację taką popiera długoletnia praktyka, atoli nie brak i precedensów odwrotnej dążności w prawie państwowym polskim, zmierzającej do rządów większości. A zgoła już daremnie szukać przepisu, dozwalającego kazić i psować sejmy: przez nadużycie, przez zgubne praktyki wkradło się do obrad wolne „niepozwalam“, jest więc tylko zwyczajem w dodatku zwyczajem nielegalnym.

Oceniając *veto* ze stanowiska politycznego, przytacza Konarski jednogłośnie potępiające wyroki nad nierządem sejmowym Kromera, Bielskiego, Orzechowskiego, Załuskiego, Zawadzkiego, Piaseckiego, Karwickiego, Starowolskiego, Kochowskiego, nawet A. M. Fredry, poczem przystępuje do roztrząsania kwestyi: czy możliwa jest w stosunkach ziemskich jednomyślność? Powołani na rzeczoznawców Cynceron, Seneka, Herodot, Ewang. św. Mateusza, Eschylos, św. Augu-

styn, Richelieu demaskują utopię: „My chcemy, żeby na sejmie kilkuset albo kilka tysięcy ludzi różnych rozumów, różnych charakterów, a osobliwie różnych i przeciwnych interesów na jedno się zawsze koniecznie zgodzili, nie jestże to urojenie?.. Czy nie widzimy, że to chimera jest tylko, którą nam obcy ludzie i nienawistni sąsiedzi i niektórzy podobno nasi możniejsi panowie wbijają, perswadując nam, że coś tak wielkiego sobie na tym przywileju, od przodków naszych nieznanym, zakładamy“. „Panowie Polscy, raczcie to zważyć, czyli godzi się, aby dla prywat waszych utrzymywać Nacyę w tym tak szkodliwym i niebezpiecznym błędzie!“ Wtem niewidzialny wróg oponuje: przecież pomimo zasady jednomyślności tyle już sejmów i sejmików doszło? „Albo to ja Amerykańczyk w Polsce — odcina się Konarski — żebym nie wiedział, jak te sejmiki i sejmy się klecą?“ — i maluje nielitościwie realny obraz gwałcenia, maskowania, ignorowania mniejszości na sejmikach, „Cóż szlachta wieżdą, co między sobą układają możniejsi? jaki dyspartyment wojewódzkich pieniędzy, jakie lauda? setny i tysięczny nie wie, co włożono w instrukcyach: otóż liberum veto! A dopieroż ile razy sejmiki ukradzione przed bracią? co to... plugawych historyj i gwałtów, co ohydy szlacheckiego stanu prawie na wszystkich sejmikach, i gdzieżto to liberum veto?“ Niemasz zbawienia poza regułą większości,—a uzasadnienie owej reguły jest tak dobitne, że Jeremiasz Bentham i Adhëmar Esmein nicby tu ani dodać ani ująć nie mogli: „Naturalniejsza rzecz jest aby dwóch, choćby i rozumnych, dwomset ustąpili rozumnym, niżeli żeby dwóchset rozumnych jednemu lub dwom poddać się obligowani byli... Gdzie bardziej się i lepiej wydaje wolność publiczna: czy gdzie według samej instynktu natury jeden lub mniejsza liczba ustępuje wszystkim, czy tam, gdzie muszą wszyscy mniejszej liczbie lub jednemu koniecznie ustąpić? Dziecię w kilku leciech niechaj to rozsądzi!“

Liberum veto nie jest gwarancją praw mniejszości, lecz tyrania jednostki w duchu konserwatywnym. Przeciwnie, równość polityczna wybornie harmonizuje z zasadą większości: „przepisze raz ciebie, będzie tysiąc okazji, gdzie i ty z większą liczbą przepiszesz innych“. Republikant, nauczony przez Tarłów, Potockich, Świdzińskich, że ulegać większości jest to ulegać równym, po raz pierwszy słyszał z ust wielkiego republikanina wykład innej matematyki społecznej, wykład prawdziwej wolności i równości politycznej: „To jest esencja wolnego głosu, mózż się o wszystko każdemu do-

mówić, perswadować, zdanie swoje reprezentować i popierać, „zdanie swoim i powagą wpływać na wszystkie obrady, ustawy... sentencją swoją, czyli kreską wolną na którąkolwiek stronę szafować, czyli tu, czyli tam się przypisać, raz z tymi, drugi raz z tamtymi według rozumienia swego trzymać i rzeczy w radzie konkludować“. A „równość jest równo radzić, równo zdania dawać, równo kreskować, równo w każdą państwa materję wchodzić“.

Ze wszystkich województw dochodziły wieści, że przy dyskursach nad książką „O skutecznym rad sposobie“ większość staje po stronie autora, magnaci, spostrzegłszy, jaki niedyskretny użytek Konarski robi z ich listów, w dalszym ciągu nadsyłałi mniej lub więcej ogłędne pochwały; jednakże powodzenie nie przewyższyło umiarkowanych nadziei. Pijar zamierzył propagandą idei rozsadzić łańcuchy ugrupowań fakcyjnych, przetasować społeczeństwo i zebrać je nanowo pod sztandarem naprawy. Tymczasem łańcuchy nie pękły, i żadne stronnictwo nie oświadczyło się za programem „skutecznych rad“. Rozmaite na to wpływały przyczyny. Rządowcy po sejmie nadzwyczajnym skonfundowani, pokłóćeni pomiędzy sobą, myśleli tylko o tem, aby do reszty nie postradać kredytu. Opozycja, coraz popularniejsza, nie mogła posłuchać rady, rzuconej w pierwszym tomie i skonfederować się doraźnie dla walki z nierządem, ponieważ w kraju obozowała potężna armia rosyjska, której dwór używał do powściągnięcia malkontentów. Sposób, w jaki przyjęto dwa pierwsze tomy, napozór świadczył, że Konarski mylnie skierował swoje argumenty, zanadto zaufał doktrynie sokratycznej o tożsamości etyki i wiedzy. Mądre, piękne teorye republikańskie rozmaity mogły sprawić skutek w różnych środowiskach, gdzieniegdzie mogły nawet wywołać najopaczniejsze konsekwencye. Podówczas w Polsce, niezależnie od przesądów gminnych rodziła się poważna wątpliwość: czy samo przez się zniesienie liberu veto nie pociągnie za sobą na razie zgubnych następstw?

Rządy większości są rękojmnią spójni narodowej, warunkiem postępu, nieodłącznym czynnikiem parlamentaryzmu, który kształci i konsoliduje opinię, zapewnia kierownictwo żywiołom najtęższym, najenergiczniejszym, najlepiej zorganizowanym. Lecz pomnijmy, że w XVIII wieku Europa nic o tych pewnikach nie wiedziała. Przyzwyczajono się wtedy lekceważyć angielski system praworządny, umieszczać przejściowy nieład Wielkiej Brytanii na jednym szczeblu z nie-

rządem polskim, a poniżej nierządu szwedzkiego, wróżyć Al-bionowi rychły upadek wolności (Mably); każdorazową większość parlamentarną przedstawiano jako wynik korupcyi, stosowanej przez ministerya Walpolów i Pelhamów w zgni-łych okręgach wyborczych. Mało kto jeszcze zauważył, jak w tych samych latach, w dobie wojny siedmioletniej, William Pitt urzeczywistnił rząd, oparty już nie na protekcyi i zgor-szeniu, a na wzroście samowiedzy społecznej.

I nad Wisłą umiano sceptycznie gawędzić o Anglii, umia-no przytoczyć nie jeden naród: węgierski, czeski, francuski, które trzymając się reguły większości, zatraciły wolność poli-tyczną; wspomniano zamachy stanu Augusta II, odwrócone oczywiście dzięki liberum veto. Że głosiły to ciemne, zba-łamucone rzesze sejmikujące, trudno się dziwić. Fatalny wszak-że zbieg warunków czasowych sprawił, że i najświatlejsi statycy nie bez niepokoju musieli myśleć o zaprowadzeniu uchwał większości. Przecież ster państwa dźrzyły „mete-ory” pałacowe, Brühl, polsko-saski Walpole, dalej Mniszech, Sołtyk, istoty opętane megalomanią, pożerane ambycją, śle-po przywiązane do domu saskiego, któremu zawdzięczały całą karierę! Przecież ci panowie bez mózgu, czci i wiary, oparci na bagnietach rosyjskich, rekomendacją do wakansów, skandaliczną korupcją utworzyli z odpadków dawnych stron-nictw bezduszny, ani zimny ani gorący, serwilistyczny blok rządowy, dopiero co — większość rządową! Któżby zare-czył, czy nie poświęcą oni Brühlowi i Sasom interesu naro-dowego, nie przeforsują chwilową większośćią uchwał naj-szkodliwszych, byle dynastyi za zgodą zagranicy wyjednać sukcesyę tronu, a sobie ostateczną zemstę nad przeciwnikami?

Oto dlaczego zniesienie jednomysłności, w zasadzie bez kwestyi niezbędne, mogło się wówczas, w r. 1761 wydać re-formistom niewczesnem. Wodzowie familii, zwłaszcza młod-szej generacyi, znając parlamentaryzm angielski i z opowia-dań Williamsów, Stormontów, i z własnych spostrzeżeń, i z dzieła Monteskiusza, umieli odróżniać chwilowe uster-ki od niespożytej wartości wewnętrznej. Czy Konarski, po rozdaniu przyjaciółom rękopisu pierwszej redakcyi dwóch to-mów, zapoznał się z „Duchem Praw”, trudno dociec, trudno i wątpić, chociaż cytuje tylko „*Considérations*” Monteskiusza nad upadkiem Rzymian; to pewna, że i on i Czartoryscy jedni z pierwszych na lądzie europejskim zrozumieli, jakie to wolności zapewnia anglikom natura ich

konstytucyi; on był anglomanem, choć nie bezkrytycznym, a ziomków ostrzegał, by nie wierzyli fałszywym prorokom, potwarcom Wielkiej Brytanii. — Powyższe uwagi posłużą za klucz do ujęcia przewodniej myśli trzeciego tomu.

Już pierwsza część zawierała groźbę pod adresem wszystkich partyj, że wykryte będą rzeczywiste pobudki zrywawców sejmowych. Część trzecia spełnia obietnicę. Pracowity wywód historyczny, poczynając od epoki Bony, Kmity i Gamrata przekonywa czytelnika, iż ani jeden sejm nie został popsuty z pożytkiem, dla dobra Rzpltej. Stopniowo zbliżamy się do czasów saskich — jeszcze stronica, a rozlegnie się bezstronny, surowy wyrok nad zrywaczami najświeższej doby... Lecz nagle oskarżyciel milknie: „o niedawnych zbrodniach bez nieukontentowania żyjących osób... szerzej mówić się nie może“, „o żyjących osobach wszystką prawdę mówić nie pozwala roztropność, będą oni mieli swoją swego czasu zapłatę... Nie zatarł czas i nie zatrze tych nieszczęścia publicznego auktorów“ — woła na Potockich — „jako i ich naśladowców“ — gromi Czartoryskich. Lecz tu miarkuje, że potępiając rwanie sejmów, mimowoli adwokatuje dworowi, Brühlowi, Mniszchowi, Sołtykowi, krzywdzi rodzinę: bo gdyby nawet Potoccy zerwali 50 sejmów, a Czartoryscy jeden, ostatni, czytelnik najsurowiej osądzi uczuciem ostatniego winowajcę. Więc w imię bezpartyjności, dla przykładu, przypomina nieodżałowanej pamięci Sejm Grodzieński 1744 r., „niegodziwie zerwany“ przez Potockich, ten sejm co bezwątpienia z początku większe miał szanse dokonania reform niżli późniejsze, konwokacyjny i czteroletni.

Po takim werdykcie przystępuje do wiwisekcji najdrażliwszych pytań aktualnych. Odepchnąwszy dyskusję z tymi zelantami, co wręcz odrzucają rządy większości przez obawę, aby jej dwór nie nadużywał, wprowadza na scenę „republikantów“, pragnących tej reformy, przy równoczesnem odebraniu królowi rozdawnictwa wakansów, każe im dysputować z innymi „republikantami“, którym taki warunek wydaje się nadmierną ujmą praw majestatu, nowością wywrotową. Republikanci pierwsi życzą sobie przekazać wyborcom wojewódzkim prawo prezentacyi królowi do zatwierdzenia trzech kandydatów na każdy urząd, z chleba zaś „dobrze zasłużonych“ wyznaczyć stałe uposażenie dla ministrów, senatorów, ciała dyplomatycznego i t. p. Przeciwnicy argumentują haniebnie: a tożby nikt się nadal nie starał o łaskę monarchy! a przytem czyż podobna, aby karmazyn kłaniał się

szaraczkom? Gryzając pogardą wybuchają na tak podłe sentymenta republikanci za elekcyami: „Piękne serca! A przecież oni mówią, że króla miłują i dla miłości jego bez interesu mu służą!“ „W rzeczy samej, mówmy co chcemy, taka jest tego wieku miłość przeciwko królom.“ „Dary tylko ich, nie królewskie ich kochamy osoby!“ Jeszcze dotkliwiej piętnuje służalstwo dworaków: „Nie trzeba ci się było rodzić w wolnej Rzpltej, kiedy ci miłsze temu u Dworu lub owemu województwa i stanu szlacheckiego przyjaźń“. Kto nie chce o braterskie zabiegać suffragia, „niech się najlepiej do Carogrodu przeniesie“. Wolny szafunek wakansów „w podłości naszą nacyę utrzymuje“, wywołuje „jakąś lichotę umysłów, jakąś skłonność do czynienia (i przeciw zdaniu i chęciom naszym i przeciw sercu naszemu) podłych akcyj, byle się przypochlebić“. „Te równych rąk całowania, te nóg ściskania, padania do nóg czołem—plugawy zwyczaj, który nas na pośmiech u postronnych, na to patrzących, wyduje!“

Zapewne, system elekcyjny nie chroni od demoralizacyi na wyborach, ależ można wprowadzić karę infamii i konfiskaty za przekupstwo, ułatwić dochodzenie, zabronić faktycznego dziedziczenia urzędów w rodach magnackich, wreszcie, ustanowić głosowanie tajne. Ale — w tem szkopuł niedozwalczenia: zniesienie wolnej dystrybuty może nastąpić dopiero podczas bezkrólewia, a my tymczasem „skapmy bez sejmów i rady. Niech się co chce dzieje!“ W tej chwili pomiędzy dworskich i zaciętrzewioną opozycyę wsuwa się autor w masce „republikanta pośredniego“, wychwala Augusta III, głaszcze nawet faworytów... przepraszam, nie faworytów (bo słowo to w dykcyonarzach Rzpltej jest nowe!) lecz „ludzi godnych, ministrów bardziej... jak drugich u królów akredytowanych i często może jakąś i natury skłonnością bardziej... lubianych“ — tacy zawsze i wszędzie u dworów byli, są i będą, nawet w Anglii: tylko że oni nie powinni się obrażać, gdy opozycya na nich, jako odpowiedzialnych za króla uderza—zastrzega się nasz poprawny parlamentarysta: „w tem dobra wolnego narodu polityka“. Więc nie czekając, aż bezkrólewie rozkiełzna niesforne duchy, kasujemy liberum veto, ufni w „moc niezmierną poczciwych, cnotliwych, wspaniałych i ojczyznę szczerze kochających senatorów, nieprzyjaciół podłości i wielkie umysły!“ „My naród za dobry i do dobrego generalnie sposobny i cale skłonny zawsze mamy“. „Mizantropami nie bądźmy!“ Niestety, mizantropów czy też

pesymistów z konieczności jest dużo; Konarski zatem pośpiesznie zbliża się do konkretnych wniosków, wymienia jako gwarancje niezależności izb — krótki termin pełnomocnictw poselskich, wskrzeszenie sejmików relacyjnych, pozabawienie obieralności osób, które na pół roku przed sejmem starały się o wakanse. Dla miłej zgody z niektórymi miżantropami popełnia dwa rażące odstępstwa od zasad angielskich: raz, gdy dopuszcza, zapewne jako środek przejściowy, rządy większości kwalifikowanej $\frac{3}{4}$ głosów we wszystkich decyzjach oprócz wyborów; potem, gdy posłom każe ściśle trzymać się instrukcyj, a zatem przemawiać i głosować wedle mandatu, uchylając się odeń tylko wobec powagi większości. Pomysł całkiem wadliwy zasadniczo i praktycznie, ale niech nas nie dziwi ów lapsus autora: wszak nic nie było do stracenia, gorsze poniżenie i upadek Rzpltej trudno było sobie wyobrazić, a moment był krytyczny.

Gdy Konarski kończył III tom, po śmierci Elżbiety Piotrówny, zawisło nad Polską straszne niebezpieczeństwo w postaci przymierza rosyjsko-pruskiego, rozbiór kraju i ostateczny bój na śmierć i życie wisiały na włosku — stąd konkluzje książki, tchnące najżywszym niepokojem, wzywające do natychmiastowej naprawy sejmowej pod sztandarem króla, który powagą swą w Europie dzieło to ułatwi. Gdyby zaś mocarstwa obce, upewniając nas o swej przyjaźni, przeszkadzały reformie, to byłoby najjaśniejszym dowodem ich złych zamiarów. Zresztą, czyż wszystkim mocarstwom, mającym stosunki z Polską, nie lepiej traktować z państwem rządmem, któremu wszakże obcy jest duch zaborczy, niż z bezsilnym ministerjum anarchicznego kraju? zapytuje trochę naiwny dyplomata, może z ukrytym celem wyciągnięcia na słówka Benoitów, Sternbergów i Wojeków.

W tym względzie niedługo trwać mogły złudzenia. Piotr III nie zdążył przysłużyć się Fryderykowi Wielkiemu do wykonania jego planów względem Polski, ale zgon Elżbiety spowodził inne szkodliwe następstwo, wznowił u Czartoryskich myśl wyzyskania rosyjskiej pomocy dla swej idei, oddalił „patryotów“ od rodziny, dotychczas polegającej wyłącznie na własnej, krajowej potędze, przygotował wreszcie sojusz uczciwej republikańskiej opozycji z dworem saskim, odepchniętym od Rosyi. Potem przyszedł zamach stanu Katarzyny II, Czartoryscy, porwani wielkimi nadziejami, całą siłą chwycili się obcego poparcia; pod wrażeniem nieszczęsnej sprawy Kurlandzkiej odstrychnęła się od bojowników refor-

my ogromna większość narodu, sejm 1762 r., na który Konarski przygotowywał swój trzeci tom i przed którym daremnie wzywał hetmana Branickiego do objęcia kierowniczej roli, wyrzył przepaść między rodziną i dworem. Zabrzmiało w szeregach opozycyjnych hasło „usunięcia nadużyć”, reformę podjęli nie ci, dla których oświecenia Konarski pisał swój traktat, lecz zdeklarowani oddawna reformiści, obecnie znienawidzeni powszechnie i odstręczający innych od sprawy reformy właśnie swą znienawidzoną firmą.

Słowem, idea Konarskiego znalazła wykonawców w najniekorzystniejszych warunkach. Wypierać się Czartoryskich w takiej chwili, głośno ganić chociażby ich politykę kurlandzką nie miałyby sensu. Wielki Pijar, siłą wypadków popchnięty na stronę rodziny, lubo wciąż *à outrance* bezpartyjny, rzucił swój IV tom na wzburzone fale agitacji przedkonfederacyjnej. Nie dał się wyrwać z poważnego, głębokiego nastroju publicysty-myśliciela, nie przystosował stylu ani treści do zmiennej aktualności, ale też nie mógł nie przyznać się, jak silnie na zapatrywanie jego wpłynęła rada godnych, rozsądnych i Rzpltę znających ludzi, nie mógł nie podziękować publicznie jednemu z tych, co mu najwięcej pomogli swą znajomością Wielkiej Brytanii — Adamowi Czartoryskiemu.

Tom IV ukazuje oczom sarmackim wielkie obrazy parlamentaryzmu angielskiego, rządu szwedzkiego, weneckiego, cesarsko-niemieckiego, holenderskiego, rzymskiego, gdzie wszędzie panowała zbawienna zasada większości. Nawet federacja holenderska, wyraźnie w swej odrębności scharakteryzowana, aczkolwiek w niektórych materyach uznaje za niezbędną do powzięcia uchwały jednomyślność prowincyj, dostarcza właśnie dowodów niepraktyczności tej zasady. Potem dopiero czytelnik, zaopatrzony w bogaty materiał empiryczny, widzi przed sobą „projekt sistematis rad nacyonalnych“, wzięty nie z platońskiej owej Rzpltej, i nie przepisany żywcem w obcych ustaw, jeno w duchu potrzeb polskiej ojczyzny „skoncertowany z radą godnych, rozsądnych i Rzpltę znających ludzi, odmieniony, transformowany, przelany kilkadziesiąt razy według zdań i nowych światła”. Z bajeczną drobiazgowością, niekiedy nawet plastyką, przedstawiony jest tutaj plan ulepszonego parlamentu: twórca pedagog widocznie postanowił unaocznic czytelnikom realizację swych idei, aby mu nikt nie zarzucał, iż czegoś nie przewidział, że to wszystko jest dobre w teorii, ale nie wytrzymuje zetknięcia z praktyką. Owszem, wszystko jest praktyczne a konsekwentne

i w wykładzie projektu i w jego ostatecznej redakcyi ustawowej wygotowanej przez Konarskiego dla użytku reformistów. Znikły kompromisowe wahania. System rządów pośrednich, t. j. reprezentacyi ogólnokrajowej, niezależnej od instrukcyj sejmikowych, przeprowadzony w całej czystości, poparty przykładem Anglii, Szwecyi, wbrew „Głosowi“ Leszczyńskiego umotywowany jasno a głęboko niepodobieństwem, ażeby zaściankowi, domorośli prawodawcy przewidzieli i rozstrzygali skomplikowane kwestye prawa i techniki.

W najogólniejszych li tylko zarysach pozwolę sobie odtworzyć tutaj system konstytucyjny Konarskiego, zastrzegając sobie na innem miejscu wyczerpujące studyum nad nim, które z konieczności musiałoby uwzględnić ewolucyę form państwowych stanowo-monarchicznych tudzież demokratyczno-parlamentarnych, zestawić najbliższe środki i cele autora z jego ideałem (uświadomionym lub nieuświadomionym), wytlumaczyć całość, jako wypadkową wolności obywatelskiej i *salutis reipublicae*, ocenić niektóre usterki, zmierzyć wpływ na dalsze ustawodawstwo epoki Stanisławowskiej.

Sejm, najwyższy organ prawodawczy, składać się będzie z 200 (mniej więcej) senatorów i około 600 posłów, obieranych przez powiaty po 4-ch w każdym, na przeciąg czasu dwuletni. Funkcyonować będzie stale, może się odraczać sam, lecz nie może być przed czasem rozwiązany. Inicytywa rządowa ma pierwszeństwo przed poselską. W obu izbach uchwały zapadają absolutną większością głosów; wnioski prawodawcze izby poselskiej idą pod dyskusyę senatu; ten może dodać od siebie poprawki, nastąpi wtedy ponowna rozprawa w izbie, lecz w razie konfliktu niedopogodzenia, senat tylko większością $\frac{9}{10}$ gł. odrzucić może projekt izby niższej. Organem wykonawczym i zarazem kontrolującym będzie Rada nieustająca, z 45 t. zw. rezydentów do boku królewskiego, z których 12 mianuje król z łona senatu, 24-ch deleguje izba poselska, pozostałymi są prymas i ministrowie. Do każdej z 4-ch sekcyj Rady: sprawiedliwości, policyi i porządku generalnego, skarbu i wojny, wchodzi 6 posłów, 3 senatorów i 2 ministrów; każda sekcya deleguje od siebie 1 posła i 1 senatora do komisyi, prowadzącej konferencyę dyplomatyczne. Delegaci izby poselskiej doglądają w ten sposób polityki i administracyi; cała Rada odpowiedzialna jest przed sejmem, sejm przed narodem. Zamiast dawnych osobnych sejmików wojewódzkich lub ziemskich—poselskich, deputackich, gospodarskich i relacyjnych—odbywać się będą

corocznie kilkunastodniowe sejmiki powiatowe, łączące wszystkie czynności tamtych.

Rozciągnąwszy potem zasadę większości i na elekcyę królów, rzuciwszy doniosłą myśl założenia banku państwowego, któryby spożytkował fundusze ze sprzedaży królewskiej, Konarski kończy swą epokową pracę wezwaniem do natychmiastowej reformy, oczywiście pod węzłem konfederacyi, lecz nie przeciw królowi — tu krótka nauczka dla Czartoryskich — a przy królu, rada niewykonalna już wówczas dla wodzów „familii“. Wogóle tom IV, lepiej zbudowany i wykończony niż poprzedni, acz mniej głęboko odczuty, bez porównania bliższy jest ideału, słabiej związany z życiem społecznym, pisany raczej dla ludzi jutrzejszych niż dzisiejszych, i z tego przedewszystkiem stanowiska należałoby go oceniać.

Wystąpienie Konarskiego nie mogło wywołać odrazu obfitej literatury polemicznej. Współczesnikom przekonanym zabrakło sił, aby urzeczywistnić „skuteczny sposób rad“; dlatego przed wypróbowaniem zasady trudno było bawić się w rozwijanie szczegółów: conajwyżej warto było streszczać, popularyzować czterotomowe wywody autora. W obronie zdruzgotanego bałwana mogły występować tylko umysły nieuczciwe, albo niedostępne dla logiki, umysły, które nie potrafiły wznieść się po szczeblach myśli reformatora i uwięzły na zawsze w półśrodkach. Takie świadectwo umysłowej niemocy wystawił sobie pamflecista dworski, który przed sejmem 1762 r. wydrukował anonimowo „Objaśnienie nieszczęśliwych skutków z tylu zerwanych sejmów wynikających“. Autor, wyczytawszy w Monteskiuszu, jako cnota jest zasadą (*principe*) republikanizmu, nie znajdując atoli starodawnej cnoty w Polsce, sroży się na zrywaczów sejmowych, lecz nie śmie zalecać głosowania większością, gorszy się zwłaszcza rwaniem obrad przed obiorem marszałka, a środek na podobne nadużycia widzi w ukróceniu samodzielności posłów przez sejmiki relacyjne. Boć przecie poseł „jest tylko współbraci województwa swego ustami, ich wolą rządzić się powinien, i co mu w instrukcyi podadzą, na sejmie popierać“. „Moc instrukcją niepowstrzymana posła tyranem go czyni współbraci swoich.“ Nie masz nic szkodliwszego, jak dodatkowy artykuł mandatów: „*caetera activitati* pp. posłów rekomendujemy“; przeciwnie, wszelkie nieprzewidziane materye należy odnosić *ad referendum* braciom. „Istotna własność głosu wolnego polega nie na tamowaniu obrad

w ciężkiej potrzebie, lecz na „oszczędnem tego głosu wolnego zażyciu, szczególnie tylko na oparcie się szkodliwym zamachom”. A bodaj najszkodliwsze są „płochy myśli“ o ratowaniu ojczyzny przez konfederacyę.

Inny przeciwnik Konarskiego i Czartoryskich, Mikulski, poseł słonimski na sejm 1761 r., został publicystą niechęcący: „Dawny tyńf szacowniejszy jest, jak dziesięć nowych“—pisał on do Kazimierza Wołłowicza, zacnego i światłego marszałka słonimskiego, — i w imię tej niewątpliwej podówczas prawdy pomstował gwałtownie na „nowomodne“, „szkodliwe“ konwikty, i na „książkę pełną jadu, która wzruszyła w wiernych ojczyzny synach publiczne obrzydzenie“, w której wolności trucizna, t. j. *pluralitas votorum* była ukryta. Syn adresata, a kolega piszącego, ogłosił drukiem u pijarów „List ciekawy przeciw autorowi książki o utrzymywaniu się sejmów“ z „*responsem* tak na ten list, jako na przyszłą książkę, która w nim jest obiecana“. Respons tanim kosztem streszcza i popularyzuje zrećźnie argumenta Konarskiego.

Przed sejmem konwokacyjnym 1764 r. gadatliwy a ubogi duchem Szczepan Sienicki, burgrabia rożański, obdarzył czytelników „Sposobem nowo obmyślonym konkludowania obrad publicznych dla utwierdzenia praw kardynalnych wolności“. Pan burgrabia, ślepy konserwatysta, wymyślił tylko radę, aby wstrzymujący się od głosowania (*indifferentes*), a więc zapewne ludzie bez przekonań i ustalonych poglądów, orzekali, czy sprawiedliwe są dla dobra powszechnego racye, podane na piśmie przez kontradycentów. Któżby przy takim systemie nie starał się wstrzymać od głosu, aby potem według swego widzi misię rozstrzygnąć bezapelacyjnie czy gruntowne są wywody głosujących przeciw?

Innego wybiegu szuka bezimienny autor „Myśli niezawodnym utrzymaniu sejmów i liberi veto z projektami na konwokacyę“, podobno zacny, poważny i zasłużony na polu literackim senator, nikt inny chyba, jak Wacław Rzewuski. Piszący wychwala głębokość, czystość i przezorność zdań Konarskiego, niemniej jego pobożność, mądrość i zacność, wszelako sumienie mówi mu, że liberum veto koniecznie zatrzymać nam należy. Nie powinno ono dotyczyć obioru marszałka, obalać ma nadal tylko pojedyncze uchwały, słowem, zredukuje się do reguły jednomyślności. Oponent musiałby przysiąc jako „nie z żadnego prywatne-

go interesu, a na sumieniu jest *convictus*, że ta decyzja szkodliwa jest Rzpltej“; po proteście nie mógłby ani opuścić izby ani oponować liberum veto przeciwko żadnemu innemu wnioskowi. Łatwą miał sprawę z tym projektodawcą nieznanym autor „Myśli na Myśli“, zwolennik i popularyzator Konarskiego; dziwna tylko, czemu nie postawił pytania: co nastąpi, gdy pewne stronnictwo, wysunawszy naprzód kilkadziesiąt krańcowych lub niedorzecznych propozycji, po kolei całą opozycję pozbawi prawa protestu przeciwko dalszym, może ważniejszym projektom? Obeszło się zresztą i bez tak kunsztownych kontrargumentów. Godny senator wpadł w irytację po przeczytaniu spokojnych, taktownych „Myśli na Myśli“, zapomniał o swej powadze literackiej, i roztoczył przed światem nowe, całkiem już bezmyślne i niesmaczne „Myśli o mądrych uwagach, naganających niezawodny sposób utrzymania sejmów i liberum veto“, głosząc że adwersarz jego „podobno za przeszkodą tępości pojęcia swego dojrzeć i doczytać się nie mógł istotnych, a sumnienie jego wewnętrznie obwiniających wad i omyłek w myślach swoich“.

Zbyteczna tu przypominać, jak przyjęły mocarstwa pomysł reformistyczny Konarskiego, jak mało przekonujące były dowody pożytku dla nich samych z uporządkowania Polski, wyluszczone w memoryale, zatytułowanym „Uwagi szlachcica polskiego nad usposobieniem sąsiednich mocarstw względem naszych sejmów“ (4 stycznia 1764), jak bezskuteczny był jego apel do prawa narodów. Nawet życzliwy Ludwik XV przez dekadencje leninistwo, nawet skrupulatna Marya Teresa przez krótkowzroczną a półbezwiedną chciwość, dalecy byli od okazania reformatorom jakiegobądź poparcia. Znów, jak za czasów Piotra Wielkiego i Fryderyka Wilhelma, głównym spoidłem przyjaźni prusko-rosyjskiej stała się właśnie wspólna akcja przeciwko odrodzeniu Rzpltej. Skłonny jestem do przypuszczenia, że sam Konarski niewiele widział szans, aby ktokolwiek uwierzył w międzynarodową niewinność uzdrowionego republikanizmu polskiego, lub dla miłości prawa natury wyrzekł się smacznego kaska. W tym samym czasie, gdy Czarторыscy czynem spowodowali demonstrację sąsiednich mocarstw w kwestyi liberum veto, Konarski piórem spowodował jasne postawienie tegoż pytania na porządku dyskusji. Nie inny przecież był cel końcowych nauk III tomu, gdzie stosunek do reformy sejmowej postawiony jest, jako

probierz prawdziwej ku polakom życzliwości mocarstw. I stało się, do czego parli Czartoryscy oraz Konarski. Mocarstwa przemówiły twardem: nie wolno!

Nastąpił szereg momentów tragicznych, okropnych dla księdza pijara. Oto ujrzał na sejmie Czaplicowym Kajetana Soltyka, obłudnego snoba, chwalcę jego dzieła z przed paru lat, bezdusznych milczków Wielhorskich i Gozdzkich, teraz okłamujących siebie samych frazesem złotowolnościowym, odkładających nawet zaspokojenie fanatyzmu wyznaniowego, byle przedtem z pomocą Rosyi zdeptać dzieło rozumu i dobrej woli. Widział naród szlachecki „dobry, do dobrego generalnie sposobny“, zalewający szarańczą podpisów i krzyżków haniebne akta radomskie, ten naród umiłowany, w który on wierzył, jak w krynicy prawdy, którego czystości i skłonności do dobrego bronił przed pesymizmem Czartoryskich! Doznawał ciosów coraz cięższych, coraz straszniejszych. Niegdyś Jan Sobieski, poruszywszy od niechcienia w izbie poselskiej potrzebę reformy sejmów, spowodował jedynie nędzny regulamin 1690 r., który zasłonił przed oczyma ogółu nieodzowność radykalnej naprawy. Następnie pseudo-reformator August II szeregiem awanturnicznych zamachów na wolność staropolską, wywołał konstytucję 1717 r., po raz pierwszy uświęcającą nietykalność *juris vetandi* bez żadnych zastrzeżeń. Teraz on trzeci, Stanisław Konarski, poświęciwszy wszystkie siły serca i głowy odrodzeniu narodowemu i walce z anarchią, wyzwał czarne potęgi, ścigając na kraj gwarantowane ustawy kardynalne 1768 r...

Ziszczały się najgorsze przewidywania. „Jużżeby to było największe, najokropniejsze, ostatnie a cale ostatnie i żadnem dosyć słowy nieokreślone na nasz naród nieszczęście, kiedyby w województwach, w senacie i w izbie poselskiej przyszło do tego punktu, żeby wszyscy albo największa liczba byli zdrajcy... ojczyzny, ażeby cała cnota, wiara, gorliwość o Rzplę przy jednej tylko lub kilku została osobach”. Dlatego, postawisz w I tomie pytanie: czy aby „przecież jedna racya może kiedy być słuszna zerwania którego sejmu?“ — wołał był „głosem, gdyby można, na wszystkie części Polski słyszany: żadna, a nigdy żadna!” Co było prawdą dla wierzącego w zdrowe siły społeczeństwa, okazało się złudzeniem w kulminacyjnym punkcie dezorganizacji narodowej. Owemu „nigdy“ zaprzeczył po trzynastu latach mąż, oszalały z bólu, który pokazał, że jednak można użyć liberum veto dla zbawienia ojczyzny...

Rozdzierającej ironii rejtanowskiej nie przeżył Konarski. Syt sławy i goryczy patrzył w oczy śmierci. Czy przeczuwał lepsze, a jeszcze nieszczęśliwsze dni, lepsze i nieszczęśliwsze pokolenia? Czy może szeptał te same wyrazy, które cisnęły się na usta złamanemu bojownikowi tej samej idei, z konieczności zwolennikowi innych środków: „Ja te drewna znoś; kto inny i w innym umyśle podpali!”

Doprawdy, zbyt ciężki byłby to ból, niesprawiedliwe potępienie siebie! Oni obaj, Stanisław Konarski i Michał Czartoryski, jednakowe mają prawo do absolucyi — jeżeli nie do pomnika! Wszak robili, co mogli. Wszak pożar, którego łuna świeciła im w twarz, umierającym, nie tylko niósł katastrofę starej Polsce, lecz był wigilią nowej, odrodzonej. Płomień barski zwęglił i spopielił wszystkie ściany Rzpltej, — potem udzielił się pochodniom i świecznikom Sejmu Czteroletniego, roziskrzył się w mózgach Staszyców i Kollatajów, rozżarzył gorącą miłością Kościuszki, i bił w niebiosy dymem ofiary całopalnej wielkich serc, które go skrzeszały, i ciskał promienie w najdalszą przyszłość, święty, niegasnący, do dziś dnia—i nigdy!



R. 1774. Czetwertyński Nr^o M
pos. Bractawski

P

7300